

Magdalena Dziewierska

Finka

Finka

wydanie pierwsze, ISBN 978-83-67348-53-9

© Magdalena Dziewierska i Wydawnictwo Agrafka 2023

Redakcja i Korekta

Anna Jakubek

Skład i Łamanie

Druk-24h.com.pl

Okładka

Krzysztof Fabrowski

Druk i Oprawa

Druk-24h.com.pl

Wydawca

Wydawnictwo Agrafka

ul. Macierzankowa 15

64-514 Przeclaw

e-mail: wydawnictwo.agrafka@gmail.com

www.wydawnictwoagrafka.pl

Na wstępie chciałabym podziękować całemu Wydawnictwu AgraFka, bez którego ta książka nie ukazałaby się w druku. Dziękuję za poświęcony mi czas i cierpliwe odpowiedzi na każde pytanie nieopierzonego, ciekawskiego autora.

Dziękuję również wszystkim osobom, bez których nigdy nie zaczęłabym mojej przygody z pisaniem.

Dziękuję mojemu tacie Jarkowi za wszystkie bajki przywieszane ze zjazdów na studiach. Nie wiem, czy Ty je pamiętasz, ale mi utkwiły w pamięci na zawsze. Dziękuję mojej mamie Renacie za godziny poświęcone na czytanie mi na głos najpierw dziecięcych książeczek, później coraz bardziej rozbudowanych powieści. Dziękuję Wam za zaszczepienie we mnie miłości do czytania, bez której nie znalazłabym się w tym miejscu, w którym jestem teraz. Dziękuję za pomoc w wydaniu tej książki.

Dziękuję mojemu mężowi i bratniej duszy, Danielowi, za zaplanowanie wakacji na Teneryfie, za godziny wspólnych wędrówek po tej pięknej wyspie. Wędrówek, które zaowocowały moją pierwszą ukończoną powieścią. Dziękuję, że jesteś i znosisz moje klepanie w klawiaturę...

Dziękuję mojej przyjaciółce, Natalii, która była przy mnie od początku pisania „Finki” i wspierała mnie w każdym momencie

zwątpienia. Dziękuję, że słuchasz mojego głędzenia, mimo że czasem ja już sama nie mogę go znieść ;)

Dziękuję moim pierwszym czytelniczkom i recenzentkom, Weronice i Julii. Weroniko, dziękuję za wsparcie i Twoje ogromne zaangażowanie, za podsyłanie mi co rusz informacji o kolejnym wydawnictwie. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi pomogłaś w podjęciu decyzji o wydaniu tej książki. Julio, dziękuję, że mimo wielu obowiązków i kilkunastogodzinnego dnia pracy znalazłaś dla mnie czas i napisałaś tę obszerną, niezwykle pomocną recenzję.

Dziękuję Pani Ani, mojej licealnej bursianej wychowawczyni, która jako pierwsza dała mi szansę, żeby zaprezentować mój tekst w wersji drukowanej. I chociaż pewnie teraz napisałabym to o wiele lepiej, zobaczenie swojego opowiadania na papierze dało mi niesamowitego kopa do działania.

Dziękuję Wam, że jesteście!

Magda

Rozdział 1

ONI

Aga miała wrażenie, że od zaginięcia Karoli minęły już całe wieki. Ostatni raz widziała ją jakieś czternaście godzin temu, z czego ostatnie dziewięć spędziła na Międzynarodowej Komendzie Policji, na obrzeżach Los Cristianos.

„Międzynarodowej”, dobre sobie. W ciągu kilku ostatnich dni na Teneryfie miała już okazję stwierdzić, że tubylcy nie mają ochoty porozumiewać się w jakimkolwiek innym języku oprócz ich własnego. Miała jednak cichą nadzieję, że chociaż w miejscu dedykowanym dla obcokrajowców sprawa będzie przedstawiała się inaczej niż w licznych restauracjach, barach, a nawet w hotelu, w którym się zatrzymały. Nadzieja zgasła tak szybko, jak się pojawiła – starszy, szpakowaty policjant o bardzo znudzonym wyrazie twarzy ni w ząb nie rozumiał ani słowa ani po angielsku, ani niemiecku. Koniec końców, posiłkując się aplikacją w telefonie, zdołały wytłumaczyć mu, że nie mogą znaleźć towarzyszki podróży, na co wzruszył tylko ramionami i polecił im zadzwonić do konsulatu.

Sprawy może nie potraktowano priorytetowo, ale po jakichś pięciu godzinach – błyskawicznie, biorąc pod uwagę wczesną porę i fakt, że musiał przeprawić się na Teneryfę z sąsiedniej Gran Canarii – na komendzie pojawił się przedstawiciel konsulatu, który miał za zadanie pomóc im w jak najpełniejszym złożeniu zeznań.

Aga czuła się już kompletnie wyczerpana z całych zapasów energii, które zgromadziła podczas ich krótkiego i brutalnie przerwane go urlopu. Nagrzane lipcowym słońcem mury – o klimatyzacji ten budynek mógł tylko pomarzyć – nawet w środku nocy, kiedy się tu pojawiły, emanowały nieznośnym ciepłem. Kosmyki włosów, wymknąwszy się ze starannie ułożonego wczoraj wieczorem koka, kleiły się do spoconego czoła. Pot ściekał jej z szyi, tworząc nieestetyczną plamę na dekolcie białego topu. Co chwilę na jej wilgotnej, muśniętej południowym słońcem skórze przysiadły natrętne muchy. Błękitne oczy piekły z niewyspania, a żołądek skręcał się z głodu.

Myślami uciekała to do będącej Bóg wie gdzie Karoliny, to do pozostałych członkiń grupy, czekających na nią w obszernej poczekalni – one zdążyły już złożyć zeznania, drzemały teraz niespokojnie na niewygodnych, łączonych w trójki fotelach.

– Jeszcze raz, od początku. – Z zamyślenia wyrwały ją zakłócone ziewnięciem słowa tłumacza. – Kiedy widziała pani Karolinę Wilczyńską po raz ostatni?

Mimo wczesnej pory i uporczywego gorąca miał na sobie białą koszulę z długim rękawem i długie spodnie

z nieprzewiewnego materiału. Poluzował krawat, aby zapewnić sobie więcej przepływu powietrza, co raczej nie zdawało egzaminu; pod jego pachami na białej, choć poszarzałej tkaninie widniały plamy potu.

– Żartuje pan? – wymamrotała Aga, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Jakby nie powiedziała już dość.

– To poważna sprawa, wcale nie jest mi do śmiechu – odparł, unosząc brwi w geście niezadowolenia, na co hiszpański policjant poruszył się niespokojnie na krześle; jakby nagle zrobiło mu się głupio, że nie rozumie ani słowa; tłumacz streszczał mu tylko najważniejsze kwestie.

Aga westchnęła.

– Po kolacji poszliśmy się przejść, weszliśmy do jakiegoś baru na mojito, później posiedziałyśmy na plaży, potem znalazłyśmy kolejny bar i w pewnym momencie zauważyłam, że jej nie ma – skróciła maksymalnie swoje zeznanie. – Telefon jej się rozładował, albo ktoś go wyłączył. Ale wiem, że stało się coś złego – dodała z naciskiem. Zbyt zmęczona, aby się wściekać, nie chciała słuchać kolejnych insynuacji, jakoby Karolina zniknęła i doskonale bawiła się ze świeżo poznanym znajomym.

Za niecałe dwa tygodnie brała ślub. Była szczęśliwa. Nie zrobiłaby czegoś takiego Łukaszowi.

– Kiedy widziała pani zaginioną po raz ostatni? – powtórzył, po czym to samo pytanie zadał po hiszpańsku, aby policjant nadażał za rozmową. Przedstawiciel władzy przez większość czasu jedynie się przysłuchiwał, czasami wtrącając jedno czy dwa słowa.

– Około godziny drugiej albo trzeciej nad ranem. Chyba podeszła do baru zamówić nam kolejne drinki. Nie wiem, gdzieś mi zniknęła.

– Kolejne? Można zatem powiedzieć, że sporo panie wypily? Na tyle dużo, żeby pani Wilczyńska oddaliła się z nieznanym mężczyzną? – zapytał sugestywnie.

Aga wbiła w niego lodowate spojrzenie.

– Tracimy czas. Każda minuta jest cenna – odparowała, nie odpowiadając na pytanie. – Od wielu godzin stoimy w miejscu.

– Jak była ubrana pani koleżanka? – próbował dalej, spoglądając krytycznie na jej wydekoltowaną bluzkę i krótkie szorty. Była na wakacjach, na litość boską. Na wyspie, na której blisko czterdziestostopniowy upał nie jest niczym nadzwyczajnym. Oczekiwał, że będzie nosić habit albo burkę?

– I co? Krótka sukienka to powód, dla którego zniknęła? Zakonnice też bywają ofiarami przestępstw na tle seksualnym – zaatakowała. – Niech mu pan to powie, na pewno potwierdzi – skinęła głową na policjanta, który z otępieniem wpatrywał się w okno. Myślami był pewnie we własnym łóżku.

Tłumacz uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Rozumiem, że jest pani zdenerwowana, ale...

– To niech pan przestanie robić z mojej przyjaciółki dziwkę, która wskoczyła do łóżka pierwszemu lepszemu! – ryknęła, prawie podnosząc się z miejsca; z ust tłumacza zniknęła uśmiech. – Tak, piłyśmy alkohol, tak, byłyśmy ubrane tak, jak byłyśmy ubrane, tak, chodziłyśmy po mieście w nocy, podobnie jak kilkanaście tysięcy innych osób, spędzających

tu wakacje! Przyjechałyśmy, żeby świętować nadchodzący ślub dziewczyny, która kocha swojego narzeczonego i za nic w świecie by go nie zdradziła. – Każde słowo wypowiadała coraz bardziej dobitnie. – I nie oddaliłaby się od grupy znajomych tak po prostu, bo nie jest głupia i doskonale wie, jakie to może być niebezpieczne – zakończyła, ciężko dysząc. Kręciło jej się w głowie, nie mogła złapać pełnego oddechu, oddychała płytko, jak gdyby jej płuca nagle straciły swoją pojemność.

*

– I jak? – Aga uniosła wzrok, gdy tylko Roma wróciła do jej pokoju hotelowego.

Przyjaciółka pokręciła jednak głową.

– Nasze ubezpieczenie podróżne nie obejmuje pomocy w przypadku zaginięcia – mruknęła smutno, prawie szeptem.

Opierając się o framugę drzwi balkonowych Paulina prychnęła z pogardą.

– Jasne, jak się nachlejesz i wypadniesz z łódki, to dostajesz odszkodowanie, ale jak coś się naprawdę stanie, to wszyscy umywają ręczki.

– Wiesz, raczej kupując ubezpieczenie na podróż, sprawdzasz, czy możesz wypić butelkę wina i wypaść z łódki, a nie czy ktoś ci pomoże, jak zaginiesz. – Julia wzruszyła ramionami. Z nich wszystkich była najspokojniejsza i brała całą sytuację najbardziej na chłodno.

Paulina spojrzała na nią spode łba, odpalając kolejnego papierosa od poprzedniego.

– Jak z Itaką?

– Powiedzieli, że będziemy w kontakcie, jak tylko policja wprowadzi dane do jakiegoś międzynarodowego systemu, oni umieszczą informację, gdzie się da. Obiecali, że skontaktują się z jakąś lokalną organizacją – odpowiedziała Aga.

Żadna z nich nie rozstawała się z telefonem, na wypadek, gdyby dzwoniła policja, konsulat albo – co było o wiele mniej prawdopodobne i z czego zaczynały boleśnie zdawać sobie sprawę – Karolina.

– Przynajmniej oni potraktowali to poważnie. Hiszpańska policja to dno. Tak samo jak ten urzędas – skwitowała Paulina. – Wierzyć się nie chce...

– A jeśli coś w tym jest? – zaczęła Roma, jednak umilkła, widząc spojrzenie Pauliny.

– Naćpałaś się? – warknęła spod balkonowych drzwi, wypuszczając z płuc szarawy dym. – Czyli Karola wypita dwa chrzczone drinki, puściły jej hamulce i nic nikomu nie mówiąc, poszła się jebać z pierwszym lepszym Hiszpanem, albo kimkolwiek innym, na kilka dni przed własnym ślubem? – ironizowała.

– Mówię tylko, że musimy się zastanowić nad każdą ewentualnością. – Roma była już mniej pewna swego.

– Nawet, gdybyśmy założyły, że poszła z kimś z własnej woli, to odezwałaby się do nas, nie sądziecie? Albo zdążyłaby już wrócić do hotelu. – Julia spojrzała na zegarek. – To już jakieś siedemnaście godzin.

– A może...? – Aga zamarła na dźwięk wibracji leżącego na stole telefonu.

Miała nadzieję zobaczyć nieznaną numer, po którego odebraniu odezwie się Karola, powie jej, że ma się dobrze, że wczoraj zgubiła je w tłumie, że ktoś ukradł jej telefon i że już wraca do hotelu. Zamiast imienia przyjaciółki zobaczyła jednak opis kontaktu, którego najbardziej się obawiała.

„Łukasz”.

Rozdział 2

ON

Tej nocy nie spał wcale. Sen był mu zbędny. Energii dawało mu coś zupełnie innego.

Siedział na tarasie, oświetlonym wątlými promykami księżyca, i czekał.

Powoli, bardzo powoli ciemność nocy zmieniała się w pierwsze światło poranka. W powietrzu unosiła się gęsta mgła... a może były to po prostu bardzo nisko zawieszony chmury? – ot, zwyczajny zjawisko na tej wysokości.

Wschodzącego nad oceanem słońca nie widział, dopóki nie wyłoniło się sennie zza unoszącej się nad słońą wodą pary.

Oddychał powoli i spokojnie.

Za plecami, ponad dachem chaty rozpościerał się widok na doniosłą Teide – najwyższy szczyt Hiszpanii. Wyższe partie wulkanicznej piękności także spowijały chmury, jednak dość rzadkie, by móc podziwiać jej czubek.

W duchu wyraził pogardę dla tych, których na własne życzenie omijało piękno wyspy. Tych, którzy przyleciawszy na wyspę na tydzień, do jednego z kurortów, nie wyściubiając

nosa poza Santa Cruz czy Costa Adeje, przekonanych, że poznali ducha Teneryfy. Zadowalali się kiepskim jedzeniem międzynarodowej kuchni, tłoczyli na najmniej urodziwych plażach, pośród rzędów plażowych leżaków i parasoli bez krzty gustu.

Nienawidził turystów. Szanował za to podróżników i poszukiwaczy przygód. Tych, którzy nie bali się zboczyć z utartych ścieżek, opisanych w przewodnikach. Tych, którzy w pocie czoła zdobywali sam szczyt Teide – a nie tylko smętne wierzchołek, na który dojeżdżają wagoniki kolejki. Którym niestraszne było nocowanie pod namiotem i w kamperach, zamiast pięciogwiazdkowych hoteli. Tych, którzy nieustraszenie przemierzali ulice opuszczonego miasta Sanatorio de Abona, czasami nawet nocą...

Rozmyślając, przeszedł z tarasu do kuchni. Była niezwykła, jak cały dom znajdujący się na Fince. Tworzyły ją masywne, rustykalne szafki kuchenne, zbite z nieco topornego, pomarańczowego drewna, ustawione pod spadzistym dachem chaty, pod samą jej ścianą. W rogu zabudowano wysokie paleńisko z czerwonych, spłowiałych już cegieł. Przede wszystkim kuchni brakowało kilku ścian, czyniąc ją całkowicie otwartą na taras i sprawiając, że zmywanie naczyń było jedną z jego ulubionych domowych czynności – wykonując ją, spoglądał prosto na bezkres oceanu i – mimo dzielącej go od Finki odległości – niemal czuł jego zapach. Z powodu braku innych zabudowań w pobliżu nocą jedynym źródłem światła był tu księżyc, gwiazdy oraz potężne, kute lampy, zwisające z drewnianych belek sufitowych, na których uwielbiały przesiadywać i polować gekony.

Dom powstał dawno, dawno temu z kamienia i był o tyle osobliwy, że nie miał korytarza czy przedsiionka, a do każdego pomieszczenia, nie wyłączając łazienki, wchodziło się prosto z tarasu. Patrząc od bramy w kierunku kuchni, na ścianie chaty pierwsze były drzwi do łazienki, kolejne – do sypialni, której centralnym punktem było ogromne, kute łóże z miękkim materacem, a na końcu, tuż obok kuchni – drzwi do piwniczki z winem, produkowanym z winogron hodowanych na Fince.

Winorośle rozciągały się w dolinie, poniżej tarasu i można było dostać się do nich jedynie bardzo stromymi schodami, a następnie pochyłą, stromą ścieżką. Było jednak warto – oprócz imponujących krzewów winogron dolinę porastały bananowce, papaje, drzewa pomarańczy i figowce. Te ostatnie zasiały się dziko i każdego roku rodziły tysiące słodkich owoców o purpurowej skórce i zaróżowionym, dorodnym środku. Każdego ranka, gdy tylko nadszedł sezon figowy, codziennie o świcie decydował się na wspinaczkę w dół i w górę zbocza, aby nacieszyć kubki smakowe kilkoma owocami, zerwanymi prosto z drzewa.

Z tarasu przeszedł do kuchni, za długi, drewniany stół o spłowiętym blacie, i rozpałił płomień na kuchence gazowej. Napełnił kawiarkę wodą oraz odpowiednią ilością aromatycznej arabiki rodem z Teneryfy i czekał, spoglądając z zamyśleniem w zakurzone okno piwniczki z winem. Wkrótce powinna się obudzić.

Co wtedy zrobi? Czy będzie zdezorientowana? Przerażona? Zacznie krzyzczeć? Nie powinna mieć do niego pretensji. *De facto* uratował ją przed znacznie gorszym losem.

Nie chce jej krzywdy.

Sama do niego przyszła.

Uśmiechnął się nieznacznie na wspomnienie poprzedniej nocy. I wielu przed nią.

Nigdy do niczego ich nie zmuszał. Przychodziły do niego same. I same decydowały o swoim dalszym losie.

Mogły się dostosować. Przestrzegać zasad i żyć jak królowe. Albo... cóż...

Westchnął ciężko.

Nie, nie chciał, żeby stała jej się krzywda. Ale tylko ona była zdolna postanowić, co się z nią stanie.

Uchylił wieko kawiarki i z zadowoleniem dostrzegł, że kawa była gotowa. Mocny, nieco gorzkawy zapach wypełnił jego płuca. Wylał napar do przygotowanej wcześniej szklanki, na ogromną kostkę lodu – pękła pod wpływem wrzątku.

Sącząc czarną kawę, obserwował jaszczurki, ganiające się po kamiennej posadzce tarasu i kamiennym murku okalającym go. Niektóre były długości wskazującego palca, inne – całej dłoni i ręki aż do łokcia. Walczyły o najlepsze miejsca na nagranych kamieniach. Słyszał też ciche skrobanie ich małych łapek po dachówkach – widocznie tam również toczyła się kolejna bitwa.

Nagle rozległo się ledwie słyszalne – dla niespodziewającego się tego ucha – szuranie metalu o kamienną posadzkę. Dochodziło z piwniczki. Najpierw bardzo niewyraźnie, później jakby śmielsze, aż w końcu rozległo się głośne uderzenie, jakby ciężka, mosiężna lub żelazna patelnia uderzyła o gład.

Podszedł do drzwi, położył dłoń o pokrytej zmarszczkami i piegami skórze na klamce, aż wreszcie – po kilku sekundach zastanowienia – nacisnął.

Rozdział 3

ONA

Powieki paliły ją od wewnątrz, drażnione suchością gałek ocznych. Jakby pod nimi miała setki ziaren piachu lub okruszki szkła.

Próbowała otworzyć oczy, jednak te nie chciały się poddać.

Zadrzała z zimna. Czuła przenikliwy ból w jednym z kolan i w biodrze. Pod smukłymi palcami wyczuwała zimną, jakby kamienną posadzkę. Miała wrażenie, że leży na czymś, co przypominało bardzo cienki materac gimnastyczny– taki, jakie były używane przy skokach przez kozła na wuefie w jej podstawówce. Nie mogąc rozewrzeć powiek, przesunęła dłońią dookoła, w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby się okryć; w tym momencie poczuła ucisk na kostce, a w cuchnącym wilgocią powietrzu rozległ się grzechot ocierania metalu o kamień.

Wzdrygnęła się. Coś tu nie grało.

Całą siłą woli zmusiła się do rozchylenia powiek. W jej oczach stanęły łzy, zamrugała szybko, czekając, aż jej wzrok się wyostrzy.

Otaczał ją półmrok. Materac gimnastyczny położono na kamiennej posadzce podłużnego pomieszczenia, pod jedną z dłuższych ścian. Na krótszej z nich, znajdującej się po jej lewej stronie, dostrzegła wysoki regał, od góry do dołu załadowany pokrytymi kurzem i pajęczynami butelkami; tuż obok regału, spod progu drewnianych, pokrytych licznymi bruzdami drzwi bez klamki, a także z dziurki od nieco zardzewiałego zamka przesączało się z lekkim trudem wątle promienie słońca. Niepewnie zaglądało też przez pokryte grubą warstwą pyłu i brudu, niewielkie okno po ich prawej stronie.

Początkowo miała wrażenie, że materac i regał stanowią jedyne wyposażenie pomieszczenia. Naprzeciwko drzwi, na przeciwległej ścianie, dostrzegła zarys muszli toaletowej.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, w gardle poczuła palący smak nadtrawionej treści pokarmowej. Z trudem zdusiła w sobie chęć wymiotowania i poruszyła się niespokojnie, podnosząc się do siadu na skórzanym materacu. Rozległ się przy tym metaliczny dźwięk.

Oparła się plecami o kamienny mur i z niechęcią oraz przerażeniem zerknęła w dół – wiedziała już, co tam zobaczy. Jej lewą kostkę okalała metalowa obręcz, od niej ciągnął się gruby łańcuch, wijąc się po podłodze, zniknął gdzieś za toaletą.

Nie mogła złapać tchu, chciała krzyknąć, wzywać pomocy, lecz głos uwiązł jej w gardle. W bezsilności szarpnęła mocno lewą nogą, jakby miała w ten sposób rozluźnić więzy; rozległ się przy tym nieprzyjemny, metaliczny dźwięk, kiedy poszczególne ogniwa ocierały się o siebie.

W panice pomacała dłonią dookoła siebie – jej torebki nigdzie nie było. Nie miała na sobie już też białych szortów, ktoś przebrał ją w długą, luźną sukienkę; bielizna pozostała na właściwym miejscu – jednak wszystkie jej rzeczy zniknęły.

Próbowała myśleć intensywnie, znaleźć drogę ucieczki, lecz tępy ból w skroniach spowijał jej umysł gęstą mgłą. Zaciśnęła powieki tak mocno, aż z jej oczu popłynęły łzy, spłynęły po policzkach do brody i zniknęły gdzieś na szyi.

Nagle zdała sobie sprawę, że coś się zmieniło; z przerażeniem rozwarła powieki i spojrzała w stronę drzwi – drogę promieniom słonecznym, błędzącym pod progiem, przecinał jakiś złowrogi kształt. Klamka po drugiej stronie jakby zagrzecgotała; Karolina poruszyła się niespokojnie i skuliła się w sobie. Sekundy przeciągały się w nieskończoność, gdy wbijała rozszerzone źrenice w stronę drzwi. Płakała bezgłośnie, pragnąc jedynie obudzić się z tego koszmaru, w ich hotelowym apartamencie, tuż obok łóżek Romy i Agi.

„To się nie dzieje naprawdę, to tylko zły sen” – powtarzała sobie w myślach, z każdą chwilą przestając w to wierzyć.

Klamka kliknęła i drzwi ustąpiły pod naciskiem męskiej dłoni, a po kolejnych kilku sekundach, które wydawały się długimi godzinami, jego cień rozciągnął się na kamiennej posadzce.

Karolina zamarła.